

Pokrewne



KRYSTYNA MIŁOBĘDZKA

Pokrewne

KRYSTYNA MIŁOBĘDZKA

Roślinne

Pcha się w górę, tłoczy, tędy przepływa, odkąd urodziło, co miało wykarmić, odkąd karmiło, co miało urodzić — narodzenie przed narodzeniem schwyte w zielony miąższ. Wyrwie się ziemi (tam zaczajone, wygięte do biegu czekają korzenie świszczące), wyjdzie naprzeciw, siebie wtuli w drgający kłęb. Przez pnie i gałęzie wtargnie w ciemne bryły poczęcia, będzie szło coraz głębiej i szerzej, aby odrodzić przyczynę.

Oddane pulsowaniu, krążeniu, odpływom, powrotom — tym tylko są — gospodarzami w sobie: co daje ziemia, co daje światło, co daje powietrze.

Chlorofil

Jak to powtórzyć? Pień może być inny, trzeba tylko wyrwać włosy, przewiązać lykiem. Tu oddychają w ciasnocie szybko, krople potu i śliny moczą przygotowane miejsca. Wysoko pod szkłem głowy na sprężynach, reszta została zjedzona. Życie powtórzone sztucznie, pewnie nie dość wielkie, ale straszne. To rośnięcie płaskie na boki, jakie to męczące. Ciągłe zginanie łodyg w łuki niepodtrzymujące niczego. Od urodzenia przygotowywane kołyski na ramionach. Łódki, połowy łódek zbudowane z ciała, ślady po odeszłych nigdy niedopłynięte do brzegu siebie, do końca liścia, jak to można powtórzyć?

Śpiew

Idą skośnie, lecz nie wiedzą, że zsypują się w dół — mają proste laseczki, parasolki i światło pada z góry. Cienkie druty trzymają tych ludzi, mimo to idą, tyłu ich, nie można rozpoznać. To są kobiety zaduszone przez lisy i suknie, teraz szeptem bez ubrania idą. Uduszeni krawatami. To są mężczyźni, idą

równy, śpiewają, niosą ostrza albo karabiny. Cienkie druty zadusiły tych ludzi, za głęboko weszły w gardła, żeby mogli mówić o śmierci, więc o śmierci idą: idziemy w równych rzędach, nie możemy wyjść ze stołów i ławek, mieszkamy w ścianie, nocami wirują domy, w dzień koło staje i wszystko wraca znowu, dobre oczy przygotowują cię znowu do mijania rzędów ludzi pionowych, ukośnych i płaskich, dobre ręce wydzwigną cię znowu, dobre nogi poniosą cię znowu i znowu życie ślimaka otwierane powoli specjalnym nożem. Tak płyną. Przepływają przez powietrze wymawiane, wypluwane, wyspiewywane, wykrzywane.

Ogród

Kto tu oddzieli, komu potrzebne nazywanie, splecione kryją się w sobie, owijające owijane, dławione jednych oddechem, podają sobie pokarm wielkimi przelękami. Nie ma żadnych ścieżek, nie ma dojścia, jest tylko kawałek uległego podłoża na ogrody w tobie, zawsze ten sam powrót, ten sam cień wysyłany spod najniższych roślin, wyrastanie powoli od stóp, uderzenie ciepła w ciasne objęcia tkanek. Tu ogień, kiedy się otworzą.

Galapagos

Przezroczyście krajobrazy o kształtach drzew, niebolesne miniatury w kolorze seledynowym i złotym nałożone na siebie niezbyt szczelnie. Zapach przechodzi przez ramiona, wyspa odpływa od oczu albo jest tak bliska, że widać tylko rude liście. W jakiejś chwili ciemnieje i pęka. Czerwony żar, blask, olbrzymie ciała pokryte łuską, trą o siebie, trzeszczą, nie można wydobyć głosu, rozrywają oddechem. To nie są smoki z bajek, skąd to jest, podarta kora drzew, strzępy skóry. Jak z rozciętego ciała może nie wytrysnąć krew, jak sprawić, żeby była biała, nie wiem.

Krwi nie ma. Suchy krajobraz obserwuje siebie. Wzgórza drażnione ręką, odsłaniane do rdzenia. Białe odlewy. Białe, pośpiesznie zaszyte kikuty rąk. Matowa biel, krajobraz z kredy.

Gra

Naprzeciw siebie, zamknięte w piórach, zbyt miękkie jeszcze, żeby rozpocząć. Coraz ciemniej znaczy coraz bliżej. Zaczyna kolor czarny. Oczy wbiegają na siebie, chłód występuje z brzegów, powietrze zastyga na chwilę, bieleje. W ciepły czerwony wir wbito — umarłe, krucho, powykręcane, ostre.

„Jesteś moim dobrym ptakiem. Jesteś miękką klatką z moich piór. Przez ciebie przechodzę, w tobie zostaję schwytyany”.

Kołysanka

Palmy z blaszanej puszki skręcone w pień, cięte po liściach, w liście, i te drugie, niedokładne, te zniszczone odległością, bez przewodów pokarmowych — w ciemności wracają do siebie w zielone światło fosforu. A na otwartej dłoni jest dom. Płomień ogrzewa wnętrze, dłoń zgina się miękko — są narodziny muszli, w której szumi krew. Razem z krwią płynie światło. Nie tknięte światłem czekają ukrycia ryb, ziemie pereł. Pasma roślin, kłacza rozwijane w zamkniętych oczach. Odebrane ciemności, pną się na drgający brzeg. Co przyjmuje, co oddała, nie jest głębią, nie jest ruchem, kołysaniem — to są przyjścia i odejścia w wielką ciszę.

Rozpięty pomiędzy ścianami kawałek syczącej zieleni.

Narodzenie z oczu

Spojrzenie po spojrzeniu rozgina wejścia coraz głębsze: trawa dzieli się trawą, liść łamie się liściem, gną się i strzępią, wplątane w ziemię biją powietrze drzewami. Spadający las, pochylona woda, dookoła, w kole podzielonym między drzewa drzewami pocięte, między wody, które nie potrafią dopędzić brzegu; drzewo nabiega drzewem, woda nakrywa wodę, pęka szklisty krąg.

Krajobraz w bezruchu obdzielany coraz mniejszymi tęczkami.

Oczy nie widzą głęboko, widzą daleko albo blisko, dlatego tyle brzegów, tyle zgniecionych mórz — czy myśleniu wystarczy oczu na zatopienie świata? Za dużo razy poznane przez siebie, żeby mogło zapuścić korzenie. Przesuwane przez wszystkie pory roku. Zbliżało się do siebie nieustannie zbyt lekkie, aż zmieniło się w wiatr.

Jaskółki

Białe, czarne błyski — walczące i pochłonięte: przez powietrze, z powietrzem. Przyciskają do ziemi skrzydłami przezroczyste chwiejne góry. Po czarnym kole, puste koło — tak odchodzą.

Cały nasz dobytek

Kawałek dnia podsunął się do polknięcia, jedzą go, obgryzają,
liżą w świetle. Tyle co widzę, tyle co upływam.

Za mały schowek, już mnie nie pomieści. Matkujesz mym
ucieczkom przez zdyszany ogród, w przejrzyste zaniki,
w co-było-słyszane. Tam jesteś — dochowanie moje niewyro-
śnięte, zatrzymanie nagle w pół trzepotu serca. Moje naraz
wszystko żywe.

Już senni jesteśmy, wydobyli beładnie, chociaż nie do szczę-
tu, każde z nas osobne, w ucieczce zmieniamy miejsca. I to
jest zawsze: kto kogo ogarnie? Czy polne to co mnie z polem
łączy, czy to co się polnego we mnie dopomina? Kiedyśmy
się rozstali, choć posiani razem?

Moje wśród ciebie oczekiwanie — nie donoszone, nie takie, za
prędko, bo co więcej wytarguje głodny od głodnego, prócz
— że się powtórzy, pomnoży, zachłyśnie?

Wycinanka na jesień

Zapaść na zawsze w gniazdo snu, zmieścić się w jedno zwi-
nięcie spopieliałych nitek — jest taka droga jesiennych śmierci,
tędy przechodzą oszalałe, rozmiękłe kolory wezwane wia-
trem. Płatek po płatku w ordynku barw, najpierw żarłoczne,
potem cichnące, aż po ostatnią, najniższą zieleń — schnące
arterie, krople bólu w ciemnych tkankach. Rośnie w ramio-
nach, rozwija się popielate gniazdo, już sięga miękko w liście
między szelest, pulsujące soki obejmuje ciasniej — ciasno —
drżącymi kręgami. Aż głuchną.

Malejące

jeżeli maleję cierpliwie z dnia na dzień

jeżeli za dużo mi do panowania przychylił świat, kto bądź
dodawał swoje dobra kiedy

jeżeli może raz ubędzie, czego nadto nie czuję a gdzieś sły-
szałam jakby powtórzone widziane dłużej

jeżeli co rozpoznaję za nie dość płynne w niepewnym wnętrzu
domu zawsze mi groźnym nagłą ciemnością, chociaż
tak lekko dotykam przedmiotu pełniącego światło wśród
innych

jeżeli nawet ćmie bliska przez ślad ćmy na palcach

Wycinanka na liście

Aureole szczerbione w wieczny znak rodzaju, rozpalone,
wezbrane, żegnające owoc, zrównane z ogniem w komorze
jesieni, czy potrafię je zmówić nim zgasną? Niebo rdza-
mi zachodzi, cień wyżera grube łyki trawy, karmi ziemię
w ostatnich olejach. Chłodne odpoczywanie świętych nie
nazywanych, w wielkim bezimieniu gorącymi strzałami
przez śmierć trafionych. A mnie ledwo czerwień.

Tak mi w ucieczce przybywa

Niby las, niby płot, niby wojsko, niby zboże, chwiejne i wyso-
kie nazywanie świata, co ciągle inaczej zwołuje swą przemoc
nade mną. Tyle siły, żeby ledwo nie zaznać schronienia pod
rękami i liśćmi, tyle odwagi co brudu za paznokciem, którym
skrobieć pracowicie odpoczynek w ziemi, a Bóg mnie jeszcze
na tyle nie spotkał, na zawadzie nie miał, żebyśmy mogli
polegać na sobie. Którędy wraca bezpowrotne — przed sobą
gubiąc ślady, nie o drogę pytam, ale o wydrążone miejsce
wśród małego życia, o mój dołek w piasku, czy nie zasypany.
Tak mi przybyło na wróbla przez podwórze.

Dom

Trzyma mnie w swoim wnętrzu, nisko od korzeni do ciem-
ności drzewa mój cień jego ruchem cieniem, a pory roku
pędzą w gęstwinę. Dotykam pierwszych ścian przez grubość
lat, przez życia ubiegłe do kory, między kołyską i drzwiami
w twarde drewno wryty przyływ. Ze skraju, z drgnienia ma
wejście jedyne: wysoko po skórze drze płomień do szumu
w kołowrót zieleni, aż skrzypią ramiona. Gdzie dotknie po-
lany, wyrebu w pamięci?

Nie udźwignie ten kraj człowieka, nie wysyła znaków

Mówią o nim, pokazują palcem to miejsce, a ja ciebie do dziś z klocków ustawiam. Do rozsypywania się dałeś, w gardle czuję twój węzeł, do ciebie drogi prowadzę szare, kruche. Wyciągam z poplątanego — i to jest proste. Kładę proste na prostym — i znów się płacze.

Ta jabłoń we mnie odkąd się zaczęła

Z białości ponad ogród czarną słyszę jabłkami zawężoną w kwiaty, przez śnieg nagle odbywam zielenie. Liści się bezwiedna mojej obecności, zbyt jawna jeszcze, zbyt jabłoń, aż nasycone wspólnym oddaleniem ramionami płączemy ciemność. „Zdarzyłaś mi ogród, w którym jestem dzieckiem, w śniegu cała, jabłek pełna i zakwitająca”.

Matka

Jesteś — moje gniazdo na pamięć, naszej ciemności trawa wspólna, z siebie tajemnej dałaś mi wyjść, okruch mroczny w wirowanie światła.

Ty nie znasz swej wielkości, twoje ziarno niepojęte, nam na kielek w głębi ciebie porzucone. Jesteś — między nasieniem i głodem, jesteś — ogród przybywający tobą bez tchu.

Stworzenia twoje znaczysz zarem, w siebie nachylasz czarne złoza, nimi spłonęłaś do sosen do sarny, teraz wybuchają z ciebie, pierwszym ogniem liżą twoje ślady, w pióropuszech stajesz i w skrzydłach.

Jesteś — drzewem w owocu zanim pąkiem, kwiatem jeszcze korzeniem, zacznem, pęknięciem w kamieniu, własnym chwytem z dna. czy czułaś wszystko?

Jesteś wokół mnie, kiedy nazwać cię nie potrafię, pierwszy liść pokazałaś, rozwarłaś lato na upał i cień a we mnie były złączone, jesienie swoje dźwigasz, a mnie lęk o czerwieniu, coraz ciaśniej w serce. I nie umiem ciebie z mojej zimy wyprowadzić.

Biegło uwięzło Twoje w Tobie zaplątane. Ty Ciebie moje w krąg swój rozpoczynasz, nieustający krąg swój zataczasz we mnie, wieczny szelest.

Pojemne

mówię oczy, patrzę zapach, pachnę las, czyimi płucami
oddycham

słyszę gorzkie coraz ostrzej sosnom do igieł, wylaniam kraje
kory pękate, drzewa nie swoje — czym dla nich jestem, ziemią
ich czy śmiercią, jakby śmiertelnym urodzajem siebie

one też z bieli formują w skok zielony

Gnieździ się żarłoczne w oddechu, męczy się do mnie po
omacku, gdzie ja w głuszy, w skorupie równie pisklę schronio-
ne co ziarno, nasza ku sobie udręka żywienia, kielkowania,
wyklucia, nigdy nie dość własna — to w ptaku, co ziarno pcha
w kłosy czy w jabłoń.

Na dwu i na czterech łapach

po co ta przytulność, którą widać przez palce

mało wzięłam a przecież i temu nie wybrzęczę, nie dojrzę,
nie dosłucham, ledwo się o mnie otarło i już już własne, kwili
dawnym wilkiem, całym matecznikiem odbrzęknie

zawsze nie moje, moje co? zawsze to moje, nie moje co? tak
zdaje się na człowieka

Tyle mi do niej włókien

Dług ci spłacam, dużo tego, wszystko, a ciągle za mało, bo
jest jedna cena: świat za świat wydać. Kto wydany, ten goni,
dopóki siebie nie zaklepie w twarde. Ja dziecko w Tobie
dziewczynce z lalką, zanim wspólnie nad Tobą, nade mną
w mojej córce się pochylimy. Z tego kłębka — ile nici ile włó-
kien ile kroków, i znowu z piskiem do dziecka się turla.

Rdzenne

Donikąd nie chce, uwięzło w swoim, do progu po psiemu
przywarło, żeby chociaż cień wygrzać, skomli o szczodre
poszycie, o dach nad głową — z czego mu wezmę, kiedy każdą
słomką przepłacam rozstaje, niech ominą ten kąt, gdzie ra-

zem pulsujemy w jedno. Tarmosi o byłe przeszłe kroki, przebudzenia, o piłkę — tu, wśród bliskich, zawsze mu dłużna.

Kawałek ziemi pewnej

co ja się nachodzę, żeby okryć to kochane zawczasie
ile gniazdo okrąglę od czerwonej wstążki z warkocza, /a już moszczę siwym
ile czekam na pisklę piórko za piórkiem
ile ciasto zaczyniam — usta ręce w popłochu, gruda ścierpnięta po grudzie
coraz zostaję, zatrzymana sobie, wśród
ani wiem, kiedy to nasze przeleci, zakręci się w oczach
nasz kawałek ziemi pewnej, tylko dokoła po drzewach
i dzieciach się starzejemy

Pokrewne

w co porzucają ziemię, że tak wynosi swoje małe z brzuchów skorup do wielkiej misy, boję się tego nic, co głodne siedzi w oczach
co tak pulsuje w palcach kiedy chcemy ująć przed pości-
giem
co to za kołujące wędrowanie, ten głodny we mnie ruch ziemi kiedy zanurza kły po śmiertelne nic —
zamyka, otwiera, jest zajęte, kurczy, rozmyka, jakiegoś szmeru jeszcze zapominam, uderzenie, zlizuję krew z rozciętej ręki
co tak kołu kołu w koło roku, co tak czujemy to własne coraz bardziej ciszej zmęczona, łakome wybiegi ścieżki krwio-
ścieżki krwi do przedsionków serca
ja domu serca kołatanie czerwone

Sobie na urodziny

Za wiele powietrza zabieram bliźnim, oni tacy nadęci z głodu i ząb na ząb trafia pusto, miejsca też podobno za wiele odkąd się przechadzam i samowtór z siebie do siebie przesypuję cukier, a choćby o stół jaki zadrzeć, po swojemu zbiorę — tak co więcej, gdzie milej, komu ciszej ustępować z drogi? Kiedy

wreszcie dobijamy targu, znowu zaczął, znowu polknę za wiele, za słodko.

Śpij tu śpij nie zmrucz oka! Nie moje, nie moje słowa meble ozdoby, czyszczą. Dom chwieją raz do mnie raz do słuchu, wkiwnęli. Oko w oko na siebie mnie biorą, przedstawiają żywe obrazy. Aż się zapadnie na głucho rozkruszy niezdobyta forteca.

Wykołowali mnie na człowieka i dalej kołują, a ja im się dziwię. Tacy biedni rodzice, tacy rozrzutni, mogli mieć ze mnie nie wiedzieć co jeszcze.

Kogut

Przyniosło mnie na pustkowie, tu się rzeczy dzielą: głos, ostrogi, mięso, grzebień. Bardzo pięknie wystygliśmy, do czego te dokładnie osobne szpargały będą mi potrzebne? Nie posiadam więcej, choć jeszcze zobaczę. Wierzę sobie, tu nie ma innego koguta, tylko ten: czerwone drgnienia w zaciśnięciu powiek rozłuskane pozłotą na dreszcze zieleni. Tyle mojego.

Odpisane na straty

Nie dotykać kiedy włazi w oczy ani uszu przykładać do tego co roi, niech się nasyci zagarniętym ciałem, niech się napuśzy w rozgadane zdziebko i potrząsie domem, a skąd samo nie wie, nawet skóry nie ma — skądś, mimo, niechcąc aż moje.

Krzesło to krzesło — strugali je inni a mnie nie bolało. Ogród ma się dobrze, co mi do gałęzi, same się szacują. Nie wchodzę, nie wychodzę. Ogluchłam na wszystkie drzwi, którymi by dziać się mogło, witać się zaczęło.

W gospodarstwie

Jak to w gospodarstwie, raz wszędzie, raz uschnie. Głupie się urodzi, chociaż dwie głowy widać, do latania niezdatne ma pióra jak ulał, nie po myśli, nie po naturze. Rok po roku przychówek niby jest, niby nie ma, ale liże ręce. Zadanie moje: NIC przygotować dla wszystkiego stworzenia, co w tak lichą skorupę zechce.

Wilk

Dużo po lasach wymowy, którą lekceważy ucho leśnego. Teraz, odkąd jestem w mieście, wieszuję sobie. Wydawało mi się kiedy indziej byle nie ludzkim głosem udane i wyło. Lżej się to udaje we znaki nad stołem.

A to sztuka

Przeszłam? przeskoczyłam ile metrów czasu i jak to się sły-
szy — górę wysoko, a dolinę nisko? Mierzę tętno, składam go-
dzinę, w której mi się dzieje pomaleńku po cichu zapodziewa
między sobą, między sobą i tobą, i krwią, krwią wydzwignię-
tą i krwią spadającą, krwią zużytą i znowu wtłaczaną między
nas, tak nuci się metr po metrze.

Wszystkiemu można rodowód

Za gładko nam idzie. Byle prędzej do wyzwolin, żeby majstra
ugłaskać. Strużemy tu każdy swoje w przywleczonym kłocu,
namknie się kto zaraz inny staje na niepewnych nogach, jesz-
cze mchem obrosły, jeszcze od lasu nie odrósł. Do kogutków,
do niedźwiedzi, do dłubania świata. Darz bór trocinom,
a znajdzie się może ostrużyna Boga. To na co ją jeszcze roz-
skubać, gdzie popchnąć?

Po ciemku trafić do swego

Tyle różnych mocno żyje po świecie, gdy wypatrzę, chudną.
Ten kogut niedooglądany, nieodnowiony ptakiem, wypiał
więcej, niż ogarnął skrzydłami: ogromne, brzuchate na
mgnienie — i zapadł. Inne moje nie dają echa. Żdźbło po
żdźbło rudzieje, tyle gorzkich co słodkich, w ciasnych pętlach
krtani tylko lis mógłby się przegryźć, dokąd pójdzie? Roz-
pierzcha się to na marne sierści, rozfruwa na pierza. Każdy
pan na swoim, do nikogo podegnać.

Proces konia

Do mnie nigdy całe zwierzę nie wychodzi z konia, za nic ma
mój wysiłek, a tu jeszcze — dzień rozpoznać rozrzucony pod
pozorem suszenia siana

a tu jeszcze — rozsądzić przyjście na świat pierwsze i powtó-
rne. Płochliwe źrebię podejrzanę w koniu? kasztan, który
spadł w dzieciństwo i pogalopował? Obiecać drzewo, jeśli to
był kasztan, przynęcić cukrem, jeśli wdał się w zwierzę. A tu
jeszcze mam nie płakać nad swym niedołęstwem.

Nie bój się, trochę siły, już cię wyłaniam z zachodzącej łąki.
Znak znizony do szmeru, do niedowidzenia, cofnięcie w na-
głe to samo: zielone zwierzę! Ale był jeszcze głos chrapliwy —

i tak po kole karuzeli, od kasztana do konia, w zawrotach
do mdłości, martwe konie, ruch we mnie, plama skacząca
z pastwiska w pastwisko.

A gdyby mu teraz nienazwanym dopiec? Bawić się tak lek-
ko jak wtedy — nitką? postronkiem? zwidzeniem, co usidli
konia?

Cały przyjsć nie może, zaświadczam tylko, że był spodzie-
wany.

Porządek rzeczy

Poezja, ta chwila, gdy nuży się stoły, gdy spiętrza się groźba
jeszcze nie ochrzczona, cudak z wysiłku do natury smoka
— z wierzchu żywe liście, a wewnątrz zapalka. Jeśli zrosły
siebie, już w sobie zamilkły.

Kuźnia

mieć ją żeby rozkuć co od lat się toczy

mieć ją gdyby raz nawet cicha i zbadać skąd głos uderza

z tych oczu co swoje wypatrzyły w ogniu

nadstawić bolące od pola brać ulgę

mieć ją żeby z niej poręczyć duszę, poręcznie wygiąć rzecz
polną — zapamiętam się w progu i ani rusz dalej, a w ręce już
chłodem z wczesnych stron ciągnie

przed czarnym mnie zostawili

rozeznają co żelazne co polne

kiedy mignie co w co, we wszystkie pola stąd stłoczone po-
chwytane między między, mam z nich pociechę, czasami
się zdarzą

W dwa ognie jedna, tu i tam prze- grywam

tu sama ta sama a przecież się dwoję, odstęp między nami,
odstępstwo od kogo?

świadek koronny własnego wybiegu, ciemnego pokoju, wy-
trzeszczonej polityry mebli i wielkie uszy strachu do dziś
żeby cichsze słyszeć

dzwoni chrapie zaspalo, gdzie kogo het dobudzę — a tu mi
ucho przesyła swoje przypuszczenie straszne do tajemnicy,
do żywego ocknięcia

Ja i ta którą śledzę obecna

trudno mieć cię całą z ciebie dowieść każde poruszenie

w tobie rosnać rozcapierać stokrotnieć

kręcić się do mnie dzień po dniu z zabawy w zabawę coraz
szybciej sięgać

i tylko wierzyć, że cię wydobędę wypiastruję wspólnym szcze-
biotem jeszcze

czy już obcym

Pamiętka po mnie, pamięć po ro- dzicach

jej moje małe duże ręce?

siebie jej dziecko matka

najmniejsze ogromne zagubione znalezione uczeplone piasku
ze śmiechem zasypuje małe oczy małe uszy małe nogi

co to kogo to kokon kulka jajko matko dziecko

Podzielne

Dokładnie, ostrzem, po skrajach — zrywa związek ręki
z trawą, zaręczyny ramion z ciągłym we śnie pofruwaniem,
po kołataniu rozstrzyga to drzwi domu, to serce, to będzie
śmierć dziecinnie własna, przecina sprawę stołu w lesie
zrównanym do wspomnienia, i wszystko jest po naszej
stronie podzielne, i dalej naprzykrzamy się sobie — źdźbło
oku, nożyce trawie, piła drzewu, do nóg naszych krzywo
poślubiona łąka.

Pobyt mój taki piskliwy w nieustan- nym głosie

To, co zasiałam: teraz boli wzeszłe przede mną. To, co płakałam: coraz więcej pustych krzeseł, moje wysokie do mamy na mleku puste. To, co osiadłam: to zabrane zwierzętom, to zabrane roślinom, huczna spiżarnia a wszystkiego mało żeby dojść smaku. To, co dorosłam: dziecinnieje, coraz innym szczebiotem zbywa. To, co płynęłam, te dźwięki.

Z rozległych powołana — skąd?

bez wykrętów siebie tu powołam nad sobą

nie odmierzaj mnie dreptaniem przez i przez a w kółko
drobną kaszą

nie sądz pomęczeniem statecznych, wirującym podwórzem
gdzie dach do ręki leci, głowa psa spada z kolan

wysoko chciałam

odmawiam tę górę za ojca kiedy o nim nic nic, ani się przekonąć, czy wtedy był drzewem, a ile było chodzenia dziecinnienia po lesie — ale jak wyżej góry wołać gdzie listku gdzie lekko?

więc to tyle widać z gorącego, że dotknięte i nikt nie prosi o więcej? tyle co powiedziane na chrzcie?

nie sądz mnie tym pytaniem

Umieszczona sobie dnia tego i tego między rodzicami

ni stąd ni zowąd napomknięta na świadka bez dnia i godziny
o słuch wzrok dotyk

moje, moje to samo naoczne po tyłu zmarszczkach: więc
jesteś duża, więc jesteś mała, dwie krople wody

w jadalni chłód tamtejszy, ja na furkocie bielizny bielinek
przysiadł a tu niżej i już biało

gdzieś mnie niosą ćwierkającą zacząwierkaną tu. tu, ja, ja

to nie pamięć, tylko dyszący motyl motor turkot walczy
o mnie — którą? uchyla się. dopóki żywe

Dzięcioł

Sytuacja dzięcioła w moim opukiwaniu — z głodu ale bez
pamięci do drzew

ta przegroda na przegłosy, uszy nie do tej sprawy

od czułeków dziobów szczypiec za cicha zacicha, siebie
w siebie przelotnie donosi

ja dzięcioł i za przegrodą ja odstuka na głos na głód

na stracenie błyszczą czerwoną pręgą, tam uderzę zasłyszę
za słyszę

na głos na głód na śmierć, bo co żywe, ledwo smaczne. Po-
żyjesz, zobaczysz.

Tu tak łatwo oddalić, odbiec

Dudni jedno o drugie o drugim. W domu z krwi i kości
jak ci tam, pogruhotane? Ludzkie. Dokąd się tłuczysz? Na
pole drabiniastym wozem po więcej niż się rodzi. Smuży się
smyk smyk pole od słońca do oczu, od oczu w śnięte niebo
po przedśennych wybojach, co słomka to miedza, z jesieni na
zimę którąś tam już po mnie smyk smyk śpiącej w grudzie.
Przelkniesz? Tylko oczy bolą z powrotem do ziemi.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest udostępniony na licencji *Licencja Wolnej Sztuki 1.3*.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/milobedzka-pokrewne>

Tekst opracowany na podstawie: Krystyna Miłobędzka, *Zbierane, gubione 1960-2010*, Biuro Literackie 2010.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Paweł Koziol.

ISBN 978-83-288-5655-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).